

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Niedokończona gawęda

[Kup książkę](#)

Maria Kurecka

Niedokończona gawęda



Tower Press
Gdańsk 2000

[Kup książkę](#)

Projekt okładki
Dariusz Szmidt

Opracowanie graficzne
Pracownia Graficzna „Linus”

Skład i łamanie:
Jerzy M. Koltuniak

Na okładce wykorzystano zdjęcia Autorki
pochodzące z archiwum rodzinnego

Z rękopisu przygotowała
Ewa Czerwiakowska

Redakcja
Sonia Cynke
Antoni Pawlak

Korekta
Barbara Bukowska-Przychodzeń
Elżbieta Smolarz

Wydanie pierwsze

© Copyright by Leszek Szaruga & Tower Press, Gdańsk 2000

ISBN 83-87342-20-3



Tower Press
Gdańsk 2000

[I]

„Noskum prolepija benedikatvirgomaria – sęs anż gardję veje sjur nu!”

Niezrozumiały ten okrzyk wydobył się pomieszaniem chórem z przeszło stu młodych ust. Dziewczynki, podlotki i dorosłe już panny tkwiły w równo wyciągniętych szeregach. Dopiero suchy trzask dwóch niewielkich deszczulek w rękach wysuniętych z czarnego zakonnego habitu rozerwał karną spoistość. Z przeszło stu ust wyrwał się przeciągły okrzyk ulgi, gromada rozpierzchnęła się w mig jak stado spłoszonych wron: rozległy się krzyki, piski, śmiechy, nawoływania. O boisko zadudniła piłka. Zafurkotały granatowe, plisowane spódniczki. Podskakiwały na plecach szerokie, białą tasiemką trzykroć lamowane, marynarskie kołnierze.

– *Et vous, mon enfant?*¹ – czarna zakonnica odwróciła się do drobnej postaci, tkwiącej ciągle jeszcze bez ruchu. – *Il faut rejoindre les autres – jouer, courrir.*²

Dziecko w czarnej, brzydkiej sukience nawet nie drgnęło. Nie rozumiało ani jednego słowa. Przerażone i przeraźliwie obce tępo stało w rogu ogromnego placu.

Początkowa inwokacja w prawidłowej łacinie brzmiała zresztą nabożnie jako akt strzelisty: *Nos cum prole pia benedicat Virgo Maria*³ z dodaną w poprawnej francuszczyźnie prośbą: *Saints Anges Gardiens, veillez sur nous!*⁴

Ona tego nie rozumiała. Nic zresztą prawie nie rozumiała z tej obcej, używanej tutaj mowy, która do rozpacz doprowadzała ją już od paru tygodni. Przywieziona tu, oddana w doświadczone i sprawne rę-

¹ *Et vous...* – (franc.) A ty, moje dziecko? [Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji].

² *Il faut rejoindre...* – (franc.) Trzeba przyłączyć się do reszty – bawić się, biegać.

³ *Nos cum prole...* – (łac.) Niech Dziewica Maryja wraz z Dzieciątkiem nam błogosławi.

⁴ *Saints Anges...* – (franc.) Święci Aniołowie Stróże, czuwajcie nad nami!

ce, pojmowała tylko najprostsze, najkonieczniejsze wskazówki, jakich udzielała jej – skąpo i szorstko – gruba rudowłosa i dorastająca już dziewczyna, która na samym początku chwyciła ją za rękę i prowadząc długim, zimnym, bielonym korytarzem, oznajmiła:

– Jestem twoją *aînée* (starszą siostrą). Ale po polsku prawie nam mówić nie wolno. Zresztą nauczysz się tamtego i to prędko. – Po czym, dotykając palcem poszczególnych przedmiotów – były już w wysokiej sali o licznych rzędach łóżek – rozpoczęła pierwszą lekcję poglądową: – *Le lit* – łóżko, *l'armoire* – szafa.

Czarne zakonnice same zresztą kaleczyły tę obowiązującą, obcą mowę. Z różnych pochodziły krajów, a rotacyjne cykle dość mechanicznie przenosiły je co parę lat z jednego państwa do innego, co znosiły z chrześcijańską pokorą. Sława ich pedagogicznych i dydaktycznych osiągnięć nie ponosiła zresztą wskutek tych pielgrzymek najmniejszego uszczerbku.

Internat klasztorny z założenia był wysoce ekskluzywny, niewiarygodnie drogi, ale też odpowiednio zorganizowany i niemal stuprocentowo gwarantujący opuszczającym – po upływie należytych lat – jego progi córkom arystokracji, ziemiaństwa bądź sfer bankowo-przemysłowych szlif jak najlepiej ułożonych panien z dobrego domu.

Ona nic o tym nie wiedziała. Gdyby była w stanie zrozumieć – pewno i nie chciałaby wiedzieć. Na razie pojmowała tylko tyle, że – mimo zimnej bieli ścian i korytarzy, jasnych sal i klinicznej czystości – zapadła, czy raczej wrzucona została, do głębokiej, czarnej studni, z której wyjścia nie było – być nie mogło. Masywne dębowe drzwi do głównego hallu, pobudowanego w otwarty z jednej tylko strony kwadrat czteropiętrowego budynku, zamykano wieczorem na liczne zamki i zabezpieczano grubą, żelazną sztabą.

Drzwi te poznała najpierw. Zapamiętała najdokładniej. Przy nich przecież – trzęsącą się z zimna w długiej, białej i pod samą szyję zapinanej koszuli – odnajdywano ją niemal co nocy przez kilka pierwszych miesięcy. Wzywany lekarz kręcił głową: – Tęskni do domu. Lunatyczka? E, nie. Przejdzie. – I zapisywał gorzko-słone lekarstwo, które wieczorem wlewano jej prosto do ust zimną, połyskliwą łyżką.

Radykalniejszy sposób zaaplikowała jedna ze służebnic pańskich niższego – jak to się nazywało – chóru, do którego zaliczano kobiety nieuczone, a zajmujące się sprzątaniami, praniem, gotowaniem i wszelką gospodarską posługą: – Miskę z zimną wodą dać przed łóżko – to będzie po kłopotcie!

I było.



Młodszym i starszym uczestniczkom tego rojowiska, które z biegiem lat przekształcone miało zostać w szeregi *des jeunes filles bien rangées*¹, wolno było w ciągu dnia posługiwać się także mową ojczystą. Ale okazje po temu były ściśle uregulowane: przerwy szkolne, dwugodzinny poobiedni odpoczynek (*grande récréation*²) i oczywiście lekcje prowadzone przez panią od polskiego bądź panią od historii. Ta ostatnia zwłaszcza budziła postrach w co młodszych uczennicach niesamowitymi opowieściami. Można się było z nich dowiedzieć o legendarnym królu w wielkiej wieży nad jeziorem, który niecnym podstępem zwałił tam swoich licznych stryjów i wytruł ich co do nogi. Poniósł potem zasłużoną karę: żywcem go myszy zjadły. Dalej rzecz szła o pięknej, dziewiczej królowej, o której rękę ubiegał się rycerz z sąsiedniej krainy. Powody, dla których odtrąciła tego konkurenta i desperacko rzuciła się zaraz potem w głęboki nurt Wisły, nie wydawały się początkowo jasne. Niebawem jednak konkluzja – i to w postaci śpiewno-rymowanej – dostępna stawała się nawet dziecku:

*Ta opowieść jest o Wandzie
Co nie chciała Niemca –
Lepiej zawsze mieć Polaka
Niżli cudzoziemca.*³

Że wszyscy niemal cudzoziemcy godni byli kosza i wzgardy, dobitnie wyjaśniało – także przy tej okazji cytowane – porzekadło: „Jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem”.

Sprawy rodzinno-matrymonialne zostały tedy historycznie rozwiązane i rozstrzygnięte już od samych legendarnych początków.

Były i inne jeszcze potworności, jak na przykład ziejący ogniem a żarłoczny smok, rezydujący pod królewskim zamkiem i nieustannie domagający się od struchlałych mieszkańców ówczesnej stolicy coraz to nowych ofiar: „a najbardziej smakowały mu małe dzieci i niewinne, młode panienki”... Ale tu w sukurs przychodził lud: ubogi, lecz dzielny a sprytny szewczyk zabił barana, nafaszerował go smołą i siarką, po czym u włazu do smoczey jamy podrzucił. Smok pochłonął smakowity kąsek, ogniem siarczystym wąpiał mu zapłonęły, ledwo się jesz-

¹ *des jeunes filles*... – (franc.) statecznych pańien.

² *grande récréation* – (franc.) czas odpoczynku, rekreacja.

³ Wszystkie cytaty w książce podano tak, jak zapamiętała je Autorka.

cze, nieborak, do rzeki przyczołgać zdołał – żłopał i żłopał wodę bez pamięci, aż wreszcie rozpękl się z hukiem – a szewczyka-wybawiciela nie minęła zasłużona nagroda.

Pogodniejsze opowieści zdarzały się także: o trzech legendarnych braciach („zapamiętajcie: Lech, Czech i Rus!”) i dumnym orle, o aniołach, pod postacią zwykłych wędrowców zakamuflowanych, którzy odwiedzili chatę poczciwego kołodzieja, akurat w dniu postrzyżyn jego syna („... pogański był to wprowadzić obrzęd – no, ale aniołowie”...), a z wizyty tej błogosławione i doniosłe skutki miały wynikać dla tego pacholęcia i całej wokół krainy. Lecz przeważały zdecydowanie barwy ciemne, ponure, głębokim przerażeniem napawające dzieci, przyjmujące to wszystko za najprawdziwszą – cóż że odległą już – rzeczywistość.

Szkolny dzwonek oddalał wreszcie te upiory – do następnego razu. A dzień lub dwa później do klasy wchodziła czarna zakonnica, siadała za stolikiem na podwyższeniu, zwanym katedrą i, otwierając książkę, oznajmiała: – *Et maintenant nous allons lire ensemble...*¹ – i uczniowska gromadka chóralnie powtarzała za nią: – *Nos ancêtres, les Gaulois...*²,

...których dzieje też zresztą oczekiły krwιά.



Pianino było stare, rozstrojone, klawisze szczękały w nim niczym rozchwieirutane zęby, ale akompaniarka potrafiła wydobyć z nich jeszcze melodię.

– *Plié*³, *mesdemoiselles – voyons donc! – plié – encore – pli-i-i-é!*⁴ – komenderowała mistrzyni tańca.

Gawot, menuet, walc. Ukłony, przechyły. Takt, takt! I – dla należytej równowagi – clou wszystkiego: godny, najmniej skomplikowany polonez.

„Plije”, jak na własny użytek zeswojszczyły to wezwanie uczennice, dotyczyły przede wszystkim głębokiego, dworskiego dygu, wykonywanego na trzy pas:

- 1) postawa zasadnicza,
- 2) przygięcie lewego kolana, szerokie koło zakreślane prawą nogą i półprzysiad w tej pozycji niemal do podłogi,

¹ *Et maintenant...* – (franc.) A teraz czytamy razem...

² *Nos ancêtres...* – (franc.) Nasi przodkowie, Galowie...

³ *Plié* – (franc.) nazwa figury tanecznej, polegającej na uginaniu kolan.

⁴ *Plié, mesdemoiselles...* – (franc.) *Plié*, panienki – próbujemy! – *plié* – jeszcze raz – *plié*!

3) powrót do pierwszej pozycji – lekko, zgrabnie i z wdziękiem. Dygi były konieczne – rozpoczynały i kończyły cotygodniowe lekcje tańca.

Co tydzień także – zaraz po uroczystej mszy niedzielnej – cała gromada wychowanek zbierała się w wielkiej sali, gdzie następowało imienne odczytywanie stopni ze sprawowania podczas minionych siedmiu dni. Uczennice wzorowe lub oceniane na bardzo dobrze występować musiały z szeregu, przechodzić przez całą salę i – wykonując ów przepisowy dyg – odbierać z rąk przełożonej nagrodę – białą (dla najmłodszych), srebrną (dla średniaczek), złotą (dla najstarszych) różę, którą przypinano im tuż nad sercem do marynarskiej bluzki. Tak udekorowane wracały wśród owacyjnych oklasków na swoje miejsce. Róże były jednak ważne tylko za określony, dawny czas i zdarzało się, że szybko znikały z piersi dumnej właścicielki. Toteż do najczęstszych – a też najskuteczniejszych – napomnień pedagogicznych należało zawołanie: – Oj, bo stracisz różę!

Wyróżnienie, zaszczyt, nagroda – a gdzież kary? Co groziło czarnym owcom, których wybryki sumowały się z końcem tygodnia w opłakane (najdosłowniej!) niedostateczne lub najbardziej przerażające: – *pas de note*¹?

O drobiazgach, takich jak pozbawienie deserów bądź też nakaz całkowitego – przez dzień lub i więcej – milczenia, nawet i mówić nie warto. Najbardziej rozbrykane maluchy stawiano również przy łada okazji do kąta albo kazano klęczeć pośrodku klasy – zwyczajnie na podłodze lub w poważniejszych przypadkach na podsypnym gęsto drobnym grochu.

Karą ostrzegawczą było tak zwane oddzielenie. Werdykt wydawano zazwyczaj tuż po lekcjach, przed obiadem, wobec całej szkoły zgromadzonej w refektarzu. Pojawiała się dyrektorka – postawna kobieta o drobnej, lisiej twarzy – wywoływała delikwentkę, każąc jej zabrać sztucę, a także serwetkę w nieodzownym kółku z monogramem, i obwieszczała: – *Mon enfant, vous êtes séparée!*²

Tak pohańbiona siadać i jeść musiała odtąd sama, przy małym stoliczku, plecami do społeczności. Rozmawiać z nią ani zbliżać się do niej – nawet na przerwach – nie wolno było nikomu. Izolacja taka trwała – w zależności od ciężaru win – dzień, dwa, a nawet i pięć. Dzieci starannie ze swojej strony jej przestrzegały. Trochę z obawy, a też z mniej lub więcej skrywanej ulgi, jaką dawało im tak oficjalne usankcjonowanie wrodzonego okrucieństwa.

¹ *pas de note* – (franc.) nie ma oceny.

² *Mon enfant...* – (franc.) Moje dziecko, jesteś oddzielona!

Karą ostateczną – dla niepoprawnych – było wydalenie, przed którym przestrzegano wymownym: – Oj, bo wyjedziesz stąd na własnym materacu! (Pościel i całą tzw. wyprawkę szkolną musiały wychowanki przywozić z domu).

Ale w szeptanych do ucha najbliższych przyjaciółek pogłoskach i plotkach uparcie powracała jeszcze jedna, złowroga wieść: – Po nią przyszła komisja i...

O tym „i” – z zeznań namacalnego świadka – trzeba będzie opowiedzieć w innym miejscu.



Trzask dwóch niewielkich deseczek, złączonych zawiasami w rodzaj poręcznej książeczki rozpoczynał każdy dzień, wraz z inwokacją:

– *Jésus, Marie, Joseph.*

– *Je vous rends mon coeur* – mruczał w odpowiedzi chór rozespanych głosów, ale wezwanie powtarzano – dla większej jasności – w mowie rodzimej:

– Jezus, Maria, Józef.

– Oddaję Wam moje serce!

Wgryzione w głąb mózgu, dosłownie weń wbite suchym klekotem drewna, na całe życie zapamiętane słowa. Krążyła anegdota, że podrastająca już panienka, zaproszona przez koleżankę do arystokratycznego pałacu jej rodziców i delikatnym pukaniem do drzwi budzona nazajutrz przez lokaja, zerwała się z pościeli, wołając donośnie: – Oddaję Wam moje serce! – a skonfundowany sługa na te słowa rzucił się do ucieczki, bo przybyła w gościnę osóbką była wprawdzie z dość znakomitego rodu, lecz zezowata i krzywozęba rozpaczliwie.

Suchy klekot drewna dzielił czas dokładnie – od rana do wieczora. W dni powszednie, niedziele i święta. Nigdzie przed nim nie było ratunku.

Wylęgarnia. Hodowla (pepiniera). Ścisła i czujnie strzeżona izolotka. Do perfekcji doprowadzona tresura. Cyrk?

Po porannym myciu w emaliowanych, białych miskach – wodę zimną i gorącą dostarczała przez małe, białe lakierowane kabiny, osłonięte od przejścia równie białą zasłoną, bezszelestnie poruszająca się gromada służebnic bożych niższej rangi – zejście parami na mszę do ka-



*„Na moje rozkazanie: niech
Miasto wstanie!” [...] I wstaje
Miasto. Wolne Miasto. W do-
stojności swojej gotyckiej i re-
nesansowo-barokowym przepy-
chu. W dźwięku dzwonów nie-
zliczonych swoich kościołów
i niepowtarzalnych zapachach
stonej wody, smołowanych,
słońcem nagranych desek,
świeżo parzonej kawy i kwaśno
dymiących cygar. [...] W złoce-
niach patrycjuszowskich ka-
mienic i krętych, ciemnych za-
ułkach.*



*... nade wszystko - misie, różnej wielkości i ma-
ści, których z biegiem lat uzbierać się miało po-
nad dwadzieścia. One też kolejno - jeśli tylko
się mieściły - wożone były w wózku na spacer,
budząc zdumienie dziewczynek z sąsiedztwa...*

policy. W glansowanych, skórkowych rękawiczkach i, co gorsza, ciemnobrązowych welonach, opadających aż na plecy, z nieznośnie ciasną obręczą z szerokiej gumy, uciskającą uszy i głowę. Później spieszne pierwsze śniadanie.

Później – klekot: – *En classes!*¹

Później – dzwonek. Lekcje. Dzwonki. Przerwy. Klekot: – *Le second déjeune!*²

Refektarz. Długie stoły ustawione w podkowę. Białe, emaliowane dzbany (kawa z mlekiem, pomarszczone, tłuste kożuchy na powierzchni, skupiona uwaga, by nie trafiły z kolejnym chlustem do twego akurat kubka), sterty chleba z masłem. Kolejny klekot – powrót do klas.

Dzwonek. Odnoszenie książek i zeszytów do *salles des études*³. Klekot i parami – od najmniejszych do największych – zejście na obiad. I przed każdym posiłkiem – inna niż przed lekcjami, gdy co dzień rano przyzywa się ku pomocy Ducha Świętego – modlitwa, której jedno zwłaszcza słowo niezmiernie sprawia trudności – szczególnie najmłodszym: – Pobłogosław Panie nas i te dary, które z Twej (oooch!) szczodroblewości spożywać mamy...

Po obiedzie – rozdanie poczty (wszystkie listy rozcięte – poddane uprzednio skrupulatnej cenzurze) i zaraz dwugodzinna *grande récréation*, rozpoczynana niezmiennie cytowaną na wstępie inwokacją – wielki wybieg, „wyszalnia”, sprawnie zorganizowane gry w *cache-cache*⁴, dwa ognie, koszykówkę lub siatkówkę dla starszych. Najstarsze mają nieco większą swobodę i większy wybór: pływanie lub wiosłowanie po okrągłym, zielonym jeziorze, tenis, a nawet konna jazda.

I znów drewniany klekot: – *On rentre!*⁵

Spadziste drewniane pulpity (nigdy nie wiadomo, kiedy pojawiają się kontrolerki, każąc wszystkim wyjść na korytarz i kolejno sprawdzając, czy należycie wyłożone są błyszczącym papierem, a zawierają tylko porządnie ułożone utensylia szkolne: zeszyty z lewej, książki z prawej, farby, cyrkle, piórnik – pośrodku – a nie na przykład – przemycane z ławki do ławki rysuneczki albo liściki, lub – o zgrozo! – nic z nauką wspólnego niemające lektury!), wpuszczone w nie szklane kałamarze, wielkie okna, jasne ściany i stolik, przy którym urzęduje *surveillance*⁶ – niekoniecznie zakonnica, bywa że i któraś z najstarszych

¹ *En classes!* - (franc.) Do klas!

² *Le second déjeune!* – (franc.) Drugie śniadanie!

³ *salles des études* – (franc.) pracownia (w szkołach klasztornych).

⁴ *cache-cache* – (franc.) zabawa w chowanego.

⁵ *On rentre!* – (franc.) Wracamy!

⁶ *surveillance* – (franc.) nadzór, kontrola.

uczennic. I przepisowe milczenie, przerywane tylko krokami ku temuż stolikowi, szeptane opowiadanie się: na lekcje języków obcych (prócz wszechobecnej francuszczyzny udziela się tu – prywatnie – niemieckiego i angielskiego), muzyki, a także obwieszczanie półgłosem: – *Je vais au billet!*¹

Eufemizm ten określa podłużną, niewielką deszczułkę, przyczepioną do leżącego na stole dość sporego klucza, którym otworzyć należy drzwi pomieszczenia, służącego do zaspokajania potrzeb naturalnych. Ale w każdym z owych studiów klucz jest tylko jeden. Nic dziwnego, że chwilami – zwłaszcza w sali najmłodszych – poniektóre w ławkach swoich niespokojnie kręcą się i wiercą, z gorącą nadzieją wpatrując się w drzwi.

Klekot – i znów zejście na podwieczorek, podczas którego wolno podjadać produkty przysłane w paczkach z domów, pilnie przestrzegając przepisowego dzielenia się nimi ze swoim stołem.

Powrót za pulpity. Pomoc w absolutnie nierozwiązywalnych – zwłaszcza rachunkowych – zadaniach ze strony *surveillance* zapewniona. Ale niech no która oderwie wzrok od pulpitu i zapatrzy się w okno lub ścianę: – *Mon enfant – vous ne travaillez pas!*² – napomina zaraz karcący głos dozoru.

Klekot. Znowu parami. Znowu refektarz. Kolacja. Jarska przeważnie (nie przeciążać żołądków przed spaniem!). Kukurydziane kolby z masłem. Zsiadłe mleko z suto kraszonymi kartoflami. Pożywny szarozielony jarmuż, którego gąbczaste włókna załóżą za zęby.

*I récréation du soir*³. W dużej sali – gdzie odbywa się cotygodniowe odczytywanie stopni ze sprawowania i wiele innych uroczystości – kłapie rozchwieirutane pianino, a przy jego dźwiękach wykonywać można wesołe gry ruchowe, dziarsko maszerować, nawet (ale to już w starszych grupach i nigdy dwa razy tą samą parą) potańczyć.

Klekot. Długi, karny szereg wędruje na wieczorne modlitwy do kaplicy. Klekot – wstawać, wychodzić: – *Formez-vous en rangs!*⁴

Klekot – i mozolna wspinaczka po schodach, aż na trzecie piętro, do „dortoirów”⁵ w coraz bardziej zziąjanym chórze powtarzającym co wieczór, nieuchronnie:

¹ *Je vais au billet!* – (franc.) Chcę do bileciku!

² *Mon enfant...* – (franc.) Moje dziecko, nie pracujesz!

³ *récréation du soir* – (franc.) rekreacja wieczorna.

⁴ *Formez-vous...* – (franc.) Ustawcie się w rzędach!

⁵ Z franc. *dortoir* - sypialnia.

Kto się w opiekę
Odda Panu swemu,
A całym sercem
Szczерze ufa Jemu,
Śmieie rzec może:
Mam obrońcę Boga,
Nie przyjdzie na mnie
Żadna straszna trwoga.

Przychodziły przecież. I niejedna. Ale to już nie wina psalmisty.



Lęk był podstawą, fundamentem całej tej edukacji. Od porannego klekotu po wysapane z trudem ostatnie słowa Psalmu. Lęk przed czarnymi zawołanymi postaciami. Przed starszymi i równolatkami. Przed lekcjami, gdy – z obowiązującym i tutaj dygiem – wychodzić trzeba było na środek klasy i deklamować płynnie: *Maître corbeau sur un arbre perché, Tenait en son bec un fromage...*¹; przed dziurą w pończosze lub – o zgrozo! – podartym rękawem, przed rygorami, zakazami, nakazami – najczęściej niepojętymi ani też wyjaśnianymi – przed niebosięzną drabiną pochwał i napomnień, nagród i kar, przed kleksem w zeszytce i oślim uchem w szkolnym podręczniku, nieładem w bieliźniarno-ubraniowej szafce, opatrzonej własnym numerem, którym znaczone wszelkie osobiste rzeczy i której zawartość kontrolowano równie często i niespodziewanie, jak wnętrza drewnianych pulpity; przed ostrzegawczymi uwagami (*Vous voilà de nouveau en retard!*²), a nade wszystko przed niezrozumiałym, wartko turkoczającym obcym językiem. Ale nie mniejsza zgroza ogarniała i przed rodzimą mową.

Rok już minął. Nawet więcej. Wystraszona dziewczynka w czarnej sukience oswoiła się po trochu z wysoką przezroczystą klatką, w którą wrzucono ją tak niespodziewanie. Nie nosiła też już czarnej sukienki, tylko granatowy, marynarski mundurek. I nie walczyła po nocach z masywnymi drzwiami: zimnowodna terapia poskutkowała. Od biedy mogła się też porozumiewać z obcojęzyczną gromadą czarnych po-

¹ *Maître corbeau...* – (franc.) Pan kruk siedział na drzewie i trzymał w dziobie ser... – fragment bajki La Fontaine'a *Kruk i lis*. W znanym przekładzie I. Krasickiego ten sam fragment brzmi: Kruk miał w pysku ser ogromny...

² *Vous voilà...* – (franc.) I znów spóźniona!

staci. Ale zaczął się nowy etap: przygotowanie do największej w życiu uroczystości – specjalny kurs katechizacji przed przystąpieniem do sakramentów Pokuty i Komunii Świętej.

Sakrament? Treść tego słowa umieć trzeba było wyrecytować z pamięci absolutnie bezbłędnie: – ... jest to znak widzialny łaski boskiej niewidzialnej.

Nauczyła się tego i wielu innych formułek. Płynnie. Posłusznie. Nie rozumiała nic. Bo – znak? To można jeszcze było pojąć. Różnicę pomiędzy widzialnym a niewidzialnym wytłumaczył ośmio- i dziewięciolatkom siwy, podobny do nieco zdziwionego wróbla, ksiądz kapelan na swój dobrotliwy, nieskomplikowany sposób: – Lampa, stół, zeszyt, ty sama nawet – to rzeczy i osoby, które widzimy, ale Anioł Stróż, Święci Pańscy, Matka Boża, wreszcie Bóg sam widzialni nie są i być nie mogą, bo wysoko, w niebie czuwają nad nami.

Zgoda. Ale: łaska? Widzialny znak tego niewidzialnego? Konkretny a naiwny umysł dziecka wykonuje najdziwniejsze łamańce, ani rusz dojść nie mogąc, o co tu właściwie chodzi. Przyswaja sobie wszystkie odpowiedzi, wydrukowane tuż pod pytaniami w katechizmowej książeczce, ale niczego to nie daje, prócz rosnącego poczucia strachu. Sam problem Trójcy Świętej – mimo dużego, kolorowego obrazka, który go ilustruje – skomplikowany jest niezmiernie: Bóg Ojciec to siwobrody, dostojny starzec w złocistych szatach; Syn Boży, czyli Pan Jezus – też wprawdzie ma brodę, ale ciemnobrązową – dobrotliwą twarz okoloną puklami długich włosów, szatę ma na sobie czerwoną, ale żeby biały gołąb, unoszący się na tle błękitnego nieba miał być Duchem Świętym – zgodzić się żadną miarą nie można. Wprawdzie napisano w Piśmie (i tego uczyły się na pamięć od pierwszych lekcji religii, gdy to „na początku stworzył Bóg niebo i ziemię”...), że „Duch Boży unosił się nad wodami”, ale nigdzie nie stwierdzono tam wyraźnie, że był to (widzialny przecież!) gołąb. Akurat gołąb – to wstrętne ptaszysko? Od lat miała osobiste porachunki z gołębiami, których nie cierpiała. Ale może nawet sama myśl tak buntownicza była już grzechem? Ciężkim grzechem? („... popełnionym z chęci obrażania Boga” – no, co to, to nie! i „w materii ciężkiej” – tu ogarniały ją znowu dręczące wątpliwości!). Ledwo ważyła się zresztą na takie myśli, a wyznaczyć ich nie śmiałyby nawet dobrotliwemu kapelanowi.

Były jeszcze inne zagadki. Oto podczas codziennej mszy przy jaśniejącym od świateł, bogato ukwieconym ołtarzu odzywają się srebrne dzwoneczki i rzędy średnich, a także starszych uczennic – przystrojonych z tej racji w białe welony – klękają kolejno przy balustradzie,

przyjmując biały opłatek, który kapłan wkłada im prosto w usta, i wracają w skupieniu, ze złożonymi rękami i spuszczonej oczami na swoje miejsca do ławek. A z chóru dobiega pieśń – rozlewnie słodka, wielogłosowa:

*O święta Uczto!
Tu swoim ciałem
Karmi nas Chrystus
Napawa krwią.
A w sercu dziecka
Biednym i małym
Jasności Bóstwa
Ukryte lśnią...*

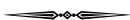
Ciałem? Jakże to? Dlaczego? Nieustannie przecież tłumaczą im, jak marne, nędzne i grzeszne jest właśnie ciało. I że jest tylko jak gdyby naczyniem (garnkiem? miską?), którego samą obecność na świecie usprawiedliwia tylko i jedynie dusza – zwłaszcza dusza w stanie łaski. Ale to ciało – moje własne, myte starannie co rano i co wieczór z zachowaniem należytej skromności (od pasa w górę oraz od pasa w bar-dziej już przerażający dół, lecz zawsze z osłoniętą – zsuniętymi odpowiednio kawałkami bielizny – niemytą właśnie jego częścią), kąpane cotygodniowo w wielkiej wannie (i w długiej, pięć sięgającej, kąpielowej koszuli) – niczym przecież nie przypomina białego, okrągłego opłatka rozdawanego tam, przy ołtarzu. I czy Pan nasz, Jezus Chrystus, doprawdy nie miał już innego wyjścia, jak zamknąć się właśnie w ciele, a nie na przykład we wnętrzu jakiegoś pięknego kwiatu? (W Niedzielę Palmową, gdy poświęcono wiązanek wierzbowych, szarych kotków ozdobionych gałązkami tui, lęka się wprowadzić te miękkie, puszyste kulki, co podobno chroni od chorób przez cały następny rok – no, ale to całkiem inna sprawa).

Szczerą zgrozą natomiast przejmują dziecko następne słowa. Napawa – to znaczy chyba poi, wlewa – ale co? Krew? Jak to? Krew oczywiście jest w każdym człowieku. Słona, czerwona. Można się o tym przekonać, nieostrożnie ostrząc ołówek albo łapiąc piłkę na własny nos. A poza tym wspomnienia z wcześniejszych jeszcze lat nieodparcie wracają tu do domowej kuchni, gdzie na stole leży kura dopiero co przez tak zwaną dziewczynę z targu przyniesiona i właśnie zarżnięta: krew płynie z jej szyi, dużo mdląco pachnącej krwi. Ale takie myśli kołujące się w dziecięcej, wystraszonej głowie są z całą pewnością nie-

dopuszczalne, może nawet Bogu uchybiające? A Bóg przecież jest wszechobecny i wszechwiedzący – więc?

W snach nawiedzają ją teraz majaki i koszmary, zrywa się z krzykiem, spocona, z przylepioną do pleców koszulą. Rankami, przed wyruszeniem do kaplicy, dostaje zawrotów głowy i długich, męczących torsji, aż zaniepokojone sługi boże sprowadzają z miasteczka grubego, ciężko posapującego lekarza (z tej racji przezywanego Foką), który – żadnych organicznych przyczyn doszukać się nie umiejąc – zaleca najskuteczniejszą kurację: dłuższe spanie, czyli zwolnienie od koszmaru kaplicy. Ale z czasem i te przypadłości mijają. A do kaplicy przecież chodzić trzeba, zwłaszcza w okresie przygotowań do bliskiego już, najpiękniejszego dnia życia.

Inny obrzęd – raz tylko wprawdzie do roku odprawiany – sprawia, że dziecko lodowacieje, drętwieje ze strachu. Oto wieczorem, w mrocznej kaplicy odbywa się nabożeństwo ku czci jednego z licznych świętych Andrzejów. Ten ma być szczególnie pomocny przy chorobach gardła. Ławka za ławką wychodzą więc elewki i równymi rzędami przyklękają u ołtarzowych balasków. Ksiądz kolejno do nich podchodzi, niosąc w rękę skrzyżowane ukośnie (krzyż św. Andrzeja przypomni się wiele dziesiątków lat później przy uczeniu się... znaków drogowych) i zapalone świece. W ostry szpic owego trójkąta wsunąć należy głowę i wysłuchać aktu strzelistego, odmawianego przy każdej. A jeśli zadrza płomyk i zajmie się od niego welon i całe włosy? Gęsia skórka, drżące nogi – ale znikąd ratunku. Szczęśliwie zresztą magiczny rytuał nigdy nie doprowadził do ogniowej katastrofy – mimo to niektóre głowy cofały się przed nim.



*Les Servantes de Notre Sauveur*¹, bo taką nazwę nosił ów zakon, dawały się też z czasem odróżniać coraz lepiej. Były wysokie i niskie, chude i grube, nieubłagane surowe i bardziej wyrozumiałe. I choć jedynym ich Oblubieńcem jest Pan Zastępów, w liczbie mnogiej mówić o nich należy *mesdames*². A mimo że imię początkowe każdej z nich brzmi tak samo: Pia, rozróżnić je można od przydanych imion następnych. Jest więc Dame (co pobrzmiewa jeszcze echem dworskim jakby) Pia Angélique i Pia Jeanne, Pia Consolata i Pia Genvure. Grupa najstarszych dziewcząt, mniej respektująca ów tytułowy ceremoniał, mó-

¹ *Les Servantes...* – (franc.) Służebnice Naszego Zbawiciela.

² *mesdames* – (franc.) panie, damy.

wi po prostu skrótowo o Dame Berthe albo Dame Joséphine – wybierając się na prywatną lekcję muzyki czy też angielskiego. W tym najdostojniejszym gronie też jednak istnieją – uchwytne już po krótkim czasie – różnice i gradacje. Na samym szczycie jest – z rzadka tylko widywana – *supérieure*¹ Dame Thérèse, najważniejszą – na co dzień – jest *la directrice*², tyczkowata Dame Célestine o długiej, koziej twarzy i suchym, ostrym głosie. Są jeszcze *dames de classes*, czyli wychowawczynie: Dame Claire – Szwajcarka, Dame Ernestine – tłuściutka i skłonna do śmiechu Holenderka, Dame Jacqueline – żywa, pełna temperamentu Hiszpanka, zawsze szybkim krokiem, furkocząc ciężkimi szatami, przemierzająca korytarze. I drobna, malutka, przyciszonym, łagodnym głosem mówiąca *dame infirmière*³, Mathée, która opiekuje się chorymi w dwóch niewielkich pokojkach dla nich tylko przeznaczonych, a oddzielonych od reszty pomieszczeń, zawsze na klucz zamkniętymi, podwójnymi oszklonymi drzwiami.

W służbie bożej, której poświęcili się wszystkie, jeden wspólny cel im przyświeca: wychowanie tej gromady, którą ich opiece oddano. I z pełnym poświęceniem wypełniają ten obowiązek, usiłując należycie obciosać i kształtować nie tylko dusze, lecz także i ciała swych elewek. A ileż cierpliwości, stanowczości i wytrwałości wymaga – zwłaszcza przy najmłodszych – ujarzmienie jakże niejednolitej, niekarnej i niesfornej, hałaśliwej, kłótlivej, małpio nieraz złośliwej czeredy.



Najwyższy wymiar kar stosowano tylko w ściśle określonych przypadkach, a i tak zróżnicowano go do trzech stopni. Pierwszy stosowano bezapelacyjnie w każdą niedzielę: za niedostateczny stopień ze sprawowania. Napiętnowane nim publicznie maluchy wędrowały po zakończeniu cotygodniowej sesji do tak zwanej małej kaplicy – pustego pokoju z niewielkim posążkiem Najświętszej Marii Panny, gdzie starsze elewki chodziły niekiedy odprawiać chwile skupienia i ciche, krótkie modlitwy w ciągu powszednich popołudni. W ślad za nimi pojawiała się egzekutorka – za owych czasów była nią tęga, przysadzista Tośka (ze starszych średniaczek) o wąskim czole, stale obsypanym czerwonymi krostami – i kolejno podchodzącym do niej delikwentkom aplikowała czarną, graniastą linijką łapy, po trzy na rękę, a przy krzykach lub piskach – jeszcze po jednej dodatkowo. Za skandaliczny

¹ *supérieure* – (franc.) przełożona.

² *la directrice* – (franc.) dyrektorka.

³ *dame infirmière* – (franc.) pielęgniarka.

brak stopnia porcja była podwójna. Proceder ten opisał już dokładnie pewien znakomity Irlandczyk w *Portrecie artysty z czasów młodości*, w szczególności wdawać się nie warto. Prawdzie gwoli – i na użytek późniejszych pokoleń – zaznaczyć tylko trzeba znaczną skuteczność chowania obolałych rąk pod własne pachy, co prawie zawsze przynosiło ulgę.

Wypadki skrajnego nieposłuszeństwa, kłamstwa, łakomstwa, wszelkie fomy i grymasy zbytnio już obciążające sprawność i karność najmłodszej grupy, likwidowała wspominana już komisja. W skład jej wchodziły dwie starsze średniaczki – obserwatorka i egzekutorka, obowiązywała też obecność opiekunki niesfornej maluchy. Cała czwórka schodziła na sam dół, do piwnic, gdzie mieściła się rozległa pralnia z szerokimi, drewnianymi ławami na wyżętą bieliznę. Na takiej ławie musi wzdłuż całej jej długości położyć się – twarzą do dołu – delikwentka. Zadzierają jej aż po szyję spódniczkę i obowiązkowo noszoną białą halkę – po czym egzekutorka wymierza w miejsce, naturą rzeczy do tego przeznaczone, ustaloną ilość pasów (w tych czasach weszło w modę u średniaczek noszenie szerokich, skórzanych pasków). Obserwatorka liczy głośno, a do obowiązków *ainée* należy – w razie konieczności – przytrzymywanie fikających nóg rozwrzeszczanego i zasmarkanego dzieciaka. Konieczność taka zachodzi zresztą rzadko: sama przewaga osobowa komisji paraliżuje niczym oko jadowitego węża. A pięć do dziesięciu pasów przynosiło – najczęściej – natychmiastowy, pożądaný skutek.

Wykonanie kary ostatecznej (po której grozić mógł już jedynie wyjazd na własnym materacu) odbywało się w rejonach podniebnych: na najwyższym piętrze. Obok strychu mieściły się tam niewielkie pokoiki tak zwanych panien kandydatek sposobiących się do zakonnego stanu. Chodziły zawsze cichutko i pojedynczo, a na głowach nosiły – nieco kokieteryjnie wiązane – śnieżnobiałe chusteczki. Na bielutkie łóżko jednej z – nieobecnych wtedy – kandydatek musiała skłaniać głowę i przednią część tułowia niepoprawna elewka, wypinając dolną i tylną partię własnej osoby. Egzekucji towarzyszyła – zapewne wskutek pewnej nieprzyzwoitości – jedynie *dame de classe*. Obowiązki jej polegały nie tylko na zadarciu spódniczki i halki, ale nadto na odpięciu z trzech guzików klapy obszernych majtek i podciągnięciu wzwyż tkwiącej w nich dziennej koszuli. Na tak obnażone pole spadały – głośno odliczane – razy brzozowych, dobrze wymoczonych różeg, których spory zapas stał tuż obok w wiadrze. Ich dostarczycielką, a zarazem i egzekutorką wyroku, była kierowniczką pralni, zamaszysta pa-

ni Ogórkowa, a wprawę miała znakomitą, gdyż – jako że mąż ją odumarł – wychowywała samotnie trzech podrastających synów. Rozdzierające ryki towarzyszące tej operacji do niższych pięter nie dochodziły, a po jej zakończeniu pakowano schlipiałą i schrypniętą od krzyków smarkulę do łóżka. Odpocząć tam mogła jedynie w zakazanej pozycji – czyli na brzuchu, ale ulga taka była krótkotrwała, gdyż niebawem budzono ją, każąc obrócić się na wznak. W łóżku wolno było leżeć tylko i wyłącznie na plecach, z rękami ułożonymi na kołdrze i nawet w nocy – przyświecając sobie małymi latarkami – zakonnice sprawdzały szeregi śpiących.

Wymiar kar – z wyjątkiem łap – podawano do wiadomości publicznej na dużej tablicy ogłoszeń, umieszczonej w głównym korytarzu – oczywiście już po egzekucji, choć – chyba wbrew pedagogicznym założeniom – nie powodowało to odwrócenia się rojnej czeredy najmłodszych od poszkodowanych. Przeciwnie: chciwie wypytywano je o szczegóły, starając się też zebrać u co bardziej już w tym względzie doświadczonych różne przydatne na przyszłość („dzisiaj tobie, jutro mnie”) wskazówki: napinać się – czy lepiej leżeć jak flak, oddychać głęboko czy płytko itp.

Przez kilka lat, które dziewczynka w czarnej sukience tam spędziła, karę ostateczną stosowano ledwo parokrotnie. Raz – za bieganie po szczycie stromego i wysokiego dachu i zrzucanie z niego dachówek. Innym razem – za pokaz zimnych ognii po wieczornym zgaszeniu światła: wywołany przy tym niezręczną manipulacją zapalkami całkiem spory pożar, strawił połowę zasłan w białej sypialni. Wyczyny – przyznać trzeba – nieprzeciętne. Ale któż zdoła odgadnąć, co za pomysły lęgły się w łepetynach nieustannie musztrowanych małopiąków?



„Na moje rozkazanie: niech Miasto wstanie!”.

Magiczne zaklęcie skutkuje. Bo był to czas magiczny, baśniowy, bajeczny. Rozczytywała się wtedy w bajkach, baśniach, legendach, podaniach, klechdach. Roilo się w nich od złych i dobrych wrózek, zaklętych skarbów, walecznych rycerzy, skrzatów, elfów, krasnoludków. Żyła wśród nich, zapadała w książki jak w najgłębszy las, przez którego wierzchołki ledwo przedrzeć się potrafią smugi prawdziwego (co jest prawdziwe?) słońca. Może więc i teraz, gdy kości już ku ziemi skrzypią, spróbować tego zawołania raz jeszcze?